

Pszonka wychodzi dwa razy na miesiąc. Każdy oddział składa się z dwunastu półarkuszy, których cena dla emigracji franków pięć, za granicą złotych polskich dwanaście. Komu z emigrantów dogodniej, może rozdzielić opłatę na dwie części. Adres Redakcyi: M^o



Pszonka, Polonais, au Wacken, 10, à Strasbourg (Bas-Rhin). Można także zapisywać się i składać opłatę w Paryżu: w Redakcyi *Demokraty Polskiego*, w Księgarni *Polskiej* i u Ob. Jokisza; na prowincyi zaś u sekretarzy Tow. Dem. Pol.

PSZONKA.

USTĘP Z TRZECIEJ CZĘŚCI POEMATU.

BABY.

(Pszonka exorcyzmuje emigracyjnego diabła.)

DIABEŁ I.

Jeszcze pomóc im trochę.

DIABEŁ II.

Niechajże mię zjedzą

Jeśli, co robić, teraz się dowiedzą.

Nowa-Polska jak dawniej pluje w wszystkie strony,
Zjednoczenie pobożne niech plecie androny,
Narodowość nieszkodzi, do tego *Maj Trzeci*,
Biały-Osiół z *Bruxelli* niech z kopyta leci,
I włazę w *Tomkiewicza*, a dla większej wagi
Dziennik niech rozpisuje na trzy piętra blagi.

DIABEŁ I.

Argument na argument, a co *Demokrata*?

Tirez-vous de la mon chor!

DIABEŁ II.

Ot, cicho do kata!

Pszonka idzie, cyt! przycup!

DIABEŁ I.

Ciociu! mamu! w nogi!

DIABEŁ II.

Czekaj, przedysputujem, tylko schowaj rogi.

PSZONKA (*wchodzi*).

Gdzie niewarto rozprawić, tam wyszydzicie można.
A tużo mi plugastwo, czeredo bezbożna
Co trzęsiesz emigracją, ktoś ty, gadaj sama!

DIABEŁ.

Havre, Grudziąż, *Zjednoczenie*, dwór króla Adama,
Sen-Simon, węglarz, masson, Buhez, komunista,
Fourier, Czyński, Czajkowski i podobnych trzysta.
Legio sum, mon pauvre Pchonca parlez-moi français,
Parlato italiano, savez-vous danser,

Oddział III. Półarkusz 4.

Ja mein Herr, caballero respondere io.

PSZONKA.

O znam cię dobrze stu języczna żmijo,
A lotry na parawan, żaden mi niezginie,
Opiszę was jak węże, posadżam w Babinie.

(Rozkłada papiery i zaczyna pisać.)

DIABEŁ.

Porozumny się Pszonciu, o coż nam tu chodzi,
A wiész ty, drogi Pszonciu, że się to niegodzi,
Gdy jeszcze ciężkie niezgojone blizny,
Śmiać się i szydzić na grobie ojczyzny. (*po pauzie.*)
Piszę a piszę, ach jak oczy wlepił;
Powiedz mi Pszonciu za co się uczepił.

A wiész ty co się wkrótce z *Czartoryskim* stanie?
A chcesz *Królikowskiego* zrozumieć bazgranie?
Wiész ty czemu w tym roku pogody niemamy?
Wiész ty co w *Zjednoczeniu* znaczą trzy *Adamy*?
Daj odetchnąć mój Pszonciu, Pszonciu mój łaskawy,
Mój królu! Dobrodzieju! takiś nieciekawy.
Ja niemówię do pisma, masz dowcipu wiele,
Szarywary — i cóż to, to przy tobie ciełe.

PSZONKA.

Żeś pochlebstwem nalowił niegdys liczne gapy,
Zamojskiego wdzięczeniem, podawaniem lapy,
I mnie się teraz łaszisz!

DIABEŁ.

Pszonko dobrodzieju!

Verbum nobile, że aści niebrak na oleju,
Na włos *Krukowieckiego*, na *Giełguda* cięcia.
Na patryotyzm *Lubckiego* księcia.

PSZONKA.

Klameo! ja ci tu prawdę zaraz wydrę z gardła.
Coś zrobił z emigracją?

DIABEŁ.

Już dawno umarła

To istna jest hołota, i mówić niewarto,
Zabawia się kieliszkiem, klubem, tańcem, kartą,
Stracona już dla kraju, próżna dla niej praca.

PSZONKA.

Kłamiesz!

DIABEŁ.

Emigracya, emigracya wraca.
Tylko trza się pogodzić, skończone cierpienia,
Ja w tym względzie tak wielkie miałem objawienia.
Sam tylko za granicą zostanę za karę,
Spytaj się Sobańskiego, bo mi niedasz wiare.

PSZONKA.

Mów co zbawi Polskę?

DIABEŁ.

Sam Carewicz ruski.

PSZONKA.

Kłamiesz, gadaj! bo piszę.

DIABEŁ.

Zbawi ją król pruski.

PSZONKA.

Gadasz, czy nie?

DIABEŁ.

Poczekaj.

PSZONKA.

Gadaj tu bez zwłoki.

DIABEŁ.

Jasn-widząca, magnetyzm, ómy, mara, uroki.

PSZONKA (*zabierając się do pisania*).

Będziesz ty gadał łotrze!

DIABEŁ.

Już, już, gadam, gadam.

Praniewicz, Orpiszewski, zbawi ją król Adam.

PSZONKA.

Bierzmy się do pisania, przeciwia się duchy.

DIABEŁ.

Pszonko, jak najpewniejsze doszły mnie posłuchy
Że sam Mikołaj władzę mu udziela.
Albo emigracyjny sejmik Lelewela,
A jeżeli ci Pszonko i to niewystarcza,
To ją zbawi w Wersalu Rada gospodarza.

PSZONKA.

Kłamiesz!

DIABEŁ.

Mój Pszonko drogi, idź ty do spowiedzi,
A dowiesz się wszystkiego, bo tam wszystko siedzi;
Bo chociaż ja, niechodzę....

PSZONKA.

Milez, profanatorze.

DIABEŁ.

Dochowasz mi sekretu, to ci się otworzę,
Przyznam, com dotąd mówił, wszystko to wybryki,
Czytujesz Zjednoczenia czasem okólniki:
Otoż zbawi komitet, lecz komitet stały,
Tylko żeby go zebrać, otoż to sęk cały.
Ach! za co ty mnie męczysz, to nie moja wina,
To ten łotr demokracja wszystkiego przyczyna,
To ona wywołuje niezgody i baśnie.
O gdybym ją raz dopadł, niech w nią piorun trzaśnie!
Ja sam płacę nad Polską, ja ją kocham szczerze,
Ja codziennie odmawiam za Polskę pacierze,
I kiedy emigrację z rozumu odzieram,
Ach! płacę, i ogonem wtedy łzy ocieram.

PSZONKA.

Gadasz co zbawi Polskę?...

DIABEŁ.

Polska!

PSZONKA.

Jaka?

DIABEŁ.

Nowa!

PSZONKA.

Kłamiesz.

DIABEŁ.

Młoda!

PSZONKA.

Gadasz czy nie?

DIABEŁ.

Otoż ani słowa.

PSZONKA.

Czekajże łotrze, ja ci na sucho łeb zmyję,
Wszystkie kłamstwa, oszustwa i głupstwa wykryję.

(Pisze.)

DIABEŁ.

Ach Pszonciu dobrodzieju, już ja gadam, gadam.
Ja się sam ze wszystkiego tobie wypowiadam.

PSZONKA.

Co zbawi Polskę, gadaj.

DIABEŁ.

Własności nadanie!

PSZONKA.

Komu?

DIABEŁ.

Ach! niewymówię!

PSZONKA.

Gadaj tu!

DIABEŁ.

Mój panie!

Niewymówię, mam chrypkę, ch... ch .. ch ..

PSZONKA.

Wyraźnie!

DIABEŁ.

Niemogę, jakem szlachcic.

PSZONKA.

Mów mi zaraz błaznie! (*pisze.*)

DIABEŁ.

Ch...ch... chamom!

PSZONKA.

Co jeszcze?

DIABEŁ.

Rząd wsparty na myśli...

PSZONKA.

Jakiej?

DIABEŁ.

Niepowiem, lecz to się okryśli.

PSZONKA.

Gadaj!

DIABEŁ (*umierającym głosem*).

Demokratycznej!

PSZONKA.

Teraz ruszaj sobie.

DIABEŁ (*na stronie*).

Czekaj-no, niejednego jeszcze figla zrobię.

PSZONKA.

To wyznanie natychmiast ja zapisać muszę,
Na tych któremi trzęsiesz jeszcze je wyduszę.

SZLACHCIC Z GŁUPIA FRANT

Scena narodowa.

OSOBY: PAN ALEKSANDER, dziecko. PAN JANUSZ, jego przyjaciel.
PODRÓŻNY, EMIGRANT.

Kłacz w Galicyi.

PAN ALEKSANDER. Coś mi po żołądku kręci. Januszu, może-
byśny przekąsili.

PAN JANUSZ. Gadasz dorzeczniej jak zazwyczaj. (Bierze hara-
piczek ze świ staczką i ma już gwizdać, w tém słyhać turkot
powozu.)

JANUSZ. Ktoś przyjechał.

ALEKSANDER. A! prawda. Najtyczanka Wajsa, mego sąsiada. Ale to nie on, coś nieznanego... Oho! jestem już w domu! Żeby też tego Wajsa diabli wzięli. Już go tyle razy prosiłem: nie przysyłaj mi nikogo; on zawsze swoje. Niemcowi zajechał w głowę polski patriotyzm.

JANUSZ. Kogo się domyślasz w tym gościu?

ALEKSANDER. A ktożby jeździł obywatelską pocztą jeżeli nie Polak.

JANUSZ. Cóż w tym złego że Polak przyjedzie?

ALEKSANDER. Ale ho to widzisz... emigrant (chodzi szybko po pokoju, skrobie się w głowę). Biorą i biorą i wybrać niemogą. To prawdziwa klęska na naszą prowincję. Diabeł wie co z nimi robić. Przyjmij grzeczniej? okrzyczą cię dobrym Polakiem, a wtedy się nieodzegnasz. Nieprzyjmij? zły Polak, Niemiec, Moskal, galgan, Bóg wie czym cię nienazwą. Ale! (staje chwilę, zamysła się głęboko) wyborny sposób, wyborny! Zaczniemy z innej beczki. Spodziewam się, mój kochanku, że niedługo będziesz tu popasał. (Emigrant wchodzi.)

EMIGRANT. Czy mam przyjemność zastać gospodarza w domu?

ALEKSANDER. Ja nim jestem do usług.

EMIGRANT. Jestem podróżny. Przypadek w drodze....

ALEKSANDER. (Widząc niespokojność emigranta z powodu obecności trzeciej osoby, przerywa jemu.) Niech pan mówi z całą otwartością jakbyśmy sam na sam byli. Ten Pan to mój przyjaciel, również dobry Polak jak i my.

EMIGRANT. Tém lepiej. Niepotrzebuję więc wywodzić się przed Panem, kto jestem. Łatwo się domyślić. Pan Wajsa nagadał mi tyle o jego polskich uczuciach, że niespodziewam się aby mój przyjazd sprawił mu jaką nieprzyjemność.

ALEKSANDER. Najmiliej mi, najprzyjemniej mieć w swoim domu podobnych koledze. Nieskończenie wdzięczny za jego zaufanie. Siadaj, szanowny kolego. Cóż będziesz pił, co jadł, zapewne spieszo ci dalej. Ale śniadanie może być bardzo prędko. Dokądże potrzebujesz koni?

EMIGRANT. Daruje Pan moją natrętność; po tém co o nim słyszałem, śniem mu powiedzieć z prostotą i otwartością żołnierską, że potrzebuję koniecznie zatrzymać się kilka dni w jego domu: dwa, trzy dni tylko. Chodzi mi o porozumienie się z moją rodziną, która tu w bliskości mieszka, tuż za granicą: za kilka dni ułatwie cały interes. Niezrobiłto Panu żadnej nieprzyjemności?

ALEKSANDER. Żadnej—tak — najmniejszej. O! z całego serca. Cóż są nasze nieprzyjemności w porównaniu z waszemi. Wy tyle cierpicie dla nas. Wprawdzie zapowiedziano mi wizytę cyrkularnego komisarza, ale moze nieprzyjść. Z resztą będą naprzód wiedział. Czy palisz fajkę, kolego?

EMIGRANT. Jeżeli wolno. Pozwolisz więc, Obywatelu, ażeby zniesiono moje rzeczy; konie także muszę jak najprędzej odesłać. przyrzekłem.

ALEKSANDER. O to wszystko nietroszcz się kolego! Pozwól mi siebie wyręczyć, być gospodarzem w moim domu. Może co przekąsisz? do obiadu jeszcze daleko. Wszak przekąsisz, nieprawdaż? (gwizdze, służący wchodzi.) Wódki, chleba i masła! (służący wychodzi) Alho może lepiej jaki kawalek mięsa. Trochę dłużej zabawi, to prawda, ale do obiadu jeszcze daleko (wychodzi za służącym) Tomasz, rzeczy nieznosić, konie z przed ganku wjechać ale niewypregać, ze śniadaniem niespieszyć się, aż zawołam — rozumiesz?

SŁUŻĄCY. Rozumiem Jaśnie Panie.

ALEKSANDER (do siebie za drzwiami). Jaką tu zacząć rozmowę, aby go wyrozumieć i złapać za słowo? Czartoryski, Skrzynecki, Towarzystwo Demokratyczne, chłopci, własność, cokolwiek bądź! Z tymi Ichmościami prędka znajomość, łatwa sprawa. Co na myśli to na języku. Cokolwiek bądź (powraca)! Cóż tam, kochany kolego, słyszał?

EMIGRANT. Nic takiego czegośbyście i obywatele niewiedzieli; tak sądzę. Duch publiczny, dzięki Bogu, o tyle się podniósł, że wiadomości publicznych rzeczy prędko się rozchodzi. Wątpię żebym miał coś nowego powiedzieć.

ALEKSANDER (do siebie). Jakis rostopny i zimny. Sprawa z nim będzie trochę przytrudna (głośno)—Arystokracja podobno głowę podnosi w emigracji. Cóż o tém sądzisz?

EMIGRANT. Jak dotąd nieschyłała jej. Takie przynajmniej moje zdanie. Z resztą dzisiejsze położenie Polski daje wszystkim do czynienia. Każdy rolni jak mu się zdaje najlepiej. Czas dopiero pokazać, kto praw, kto krzyw.

ALEKSANDER (do siebie). O! dla Boga! Jakis pieczeniarsz! nieuratuje podobno śniadania (głośno). Skrzynecki umknął z Pragi, ma już być w Brukselli. Ten człowiek może jeszcze zagrać wielką rolę; tak niektórzy utrzymują.

EMIGRANT. Przynajmniej szlachetną, jeżeli zechce. Polska sprawa niezamyka swoich szranków żadnemu poczciwemu.

ALEKSANDER (coraz niespokojniejszy, trze się ręką po czole). Rozchodzi się tu Manifest Towarzystwa Demokratycznego. Zapewne go czytałeś. Jakże go znajdujesz?

EMIGRANT. Wszystko mam za dobre, cokolwiek dziś się pisze z czystego, sumiennego przekonania, ze szczerej miłości ku całemu ludowi polskiemu. Dzisiejsze nasze pisma, jeżeli nie inną, to mają tę zaletę że wyrabiają wszechstronnie opinię narodową w żywotnych zagadnieniach naszej sprawy, rozjaśniają złą i dobrą jej stronę. A lepiej że się to dziś odbywa, jak w chwilach jawnego działania.

ALEKSANDER (do siebie). Dyplomata! na mój honor. Nic z nim podobno nie zrobię. Jeszcze go dotąd niewysądowałem, a już mi i konceptu braknie Trzymajmy się jednak (głośno). Gdzie kolego najwięcej bawilesz?

EMIGRANT. W Zaleszczyckiem.

ALEKSANDER. I Był tam zapewne podczas owego sławnego buntu chłopów?

EMIGRANT. W samej rzeczy byłem w kilku miejscach świadkiem tego zdarzenia, którego huntem nazwać niemożna. Gromada zhięrała się, przychodziła do swojego dziedzica i oświadczała mu że niechce robić pańszczyzny jaką jej narzucono. Wszystko działo się z pewną przywoitością, z pewną godnością ludzi, którzy opierają swoje żądania na sprawiedliwości.

ALEKSANDER (na stronie). Ha! Demokrata! Mam cię więc (głośno). Jako kolego; to utrzymujesz że ich żądania były sprawiedliwe?

EMIGRANT. I ty sam, obywatelu, nieinaczej będziesz sądził, jeżeli wyjdiesz ze stanowiska interesu osobistego, jeżeli zrozumiesz tę rzecz nie jako szlachcic, nie jako dziedzic, nie jako pan chłopów, ale jako człowiek, jako Polak.

ALEKSANDER. Darujesz, kolego, kiedy ci powiem, naprzód: że w jednej osobie mogą się pomieścić i szlachcic i dziedzic i człowiek i Polak.

EMIGRANT. Nic pewniejszego, ale....

ALEKSANDER. Za pozwoleniem. Powtóre: że gdybym nawet był luminarzem demokratycznym, niechy mi nieprzeszkadzało zdrowo sądzić o rzeczach; nazwalbym wszelkie nastawanie na cudzą własność, na cudze dobro, gwałtem, niesprawiedliwością, łupieżstwem.

EMIGRANT. Ależ, obywatelu, własność i dobro mogą być nabyte prawnie i nieprawnie, a wtedy...

ALEKSANDER. Niejestto rzecz ani tej chwili, ani nasza rozbięrać i znosić wyroki niebios. Demokratycznego nawet rozumie nieuznając za najwyższą w tej sprawie instancję.

EMIGRANT. Zdaje się że obywatel chce przymawiać moją demokracji, ale o to mniejsza; więc podług niego pozostanie pierwszeństwo przy głupocie arystokracji.

ALEKSANDER. Panie, to za wiele.

EMIGRANT. Niespodziewam się żeśby obywatel brał do siebie, co tu o arystokracji powiedziałem.

ALEKSANDER. A ja wręcz panu oświadczam że do siebie to biorę, i wiem że w tém jego chęć wypełniam. Bardzo mi przykro że pierwsza chwila poznania się naszego, oddali nas od siebie może na zawsze; ale po takim wyświadczeniu się wzajemnym trudno nam być razem.

EMIGRANT. Co ma znaczyć: pozegnajmy się! wszak tak?

ALEKSANDER. Darujesz Pan moją polską otwartości, ale

przy takiej różności opinii politycznych, mój dóm niebyłby dla niego przyjemnym pobytym. Pan jesteś Demokrata, ja dziedzic, szlachcic. Może to i źle, ale największa za to wina na moich przodkach.

EMIGRANT (uśmiechając się w duchu). A pokuta może być na zadkach (głośno). Obywatelu, cale to uniewinienie niejest potrzebne ani dla ciebie, ani dla mnie. To niezupełnie po polsku. Ja sądzę że najprościej było powiedzieć: ty przyjaciel chłopów, ja ich pan; niema więc zgody między nami; tłumok twój na wózk. koniec zaprzęzone, ruszaj sobie z Bogiem. Upadam do nóg pańskich.

ALEKSANDER. Ale śniadanie, zjedz przynajmniej śniadanie, kolego. I tego niechcesz. Niełaskaw jesteś; bardzo mi przykro, cóż robić? Przynajmniej niemam sobie nic do wyrzucenia. Co się tyce moich opinii—moja opinija jest mojem sumieniem; nie godzi mi się jej zaprzec. Do widzenia. Odjechał. (Do Janusza). A cóż, zła taktyka? Ciężko mi jednak szło z początku. Poczciwiec! Będzie obwoływał, zem czary Arystokrata, a ja poprostu, chcialem tylko pozbyć się go z domu.

JANUSZ. A jak na Arystokratę trafisz?

ALEKSANDER. To udam Demokratę.

JANUSZ. Niedarmo nam panuje Meternich.

SĄ DZIWY NA ZIEMI I NIEBIE

O KTÓRYCH ANI SIĘ ŚNIŁO NIEBU I ZIEMI,

CZYLI

ROZJAŚNIENIE NIĘSKOŃCZONEJ W ZAPRZESZŁYM PÓLARKUSZU
DEPESZY TELEGRAFICZNEJ.

Onego czasu zeszło nad polskim narodem ni ztąd ni zowąd dwa słońca — dwa na raz, a na tych dwóch słońcach pokazało się dwa bogi — dwa na raz: jeden bóg nazywa się Adam Mickiewicz, drugi bóg nazywa się Julijusz Słowacki. Onego czasu zdarzyło się że dwaj bogowie pokłócili się, jak poci — wierszami, o co? bogi tylko mogą wiedzieć o co się bogi kłóca. W tym gniewie Słowacki plunął poematem: *Beniowski*. Na kogo? Niewiemy. Dostyć że się dostałemu emu stworzeniu; między innemi kilka kropel padło na jednego z kapłanów nieboszczki *Młodziej-Polski*, który się zowie P. Ropelewski. P. Ropelewski wziął to sobie za obrazę honoru, i wyzwał Słowackiego na pojedynek: nadszedł na to P. Ludwik Plater i pogodził obie strony. Cóż ztąd za sens moralny? Nie jeden — głównie jednak trzy:

1° że są bogowie polskiego narodu, o których on nic a nic niewiedział;

2° że w *Młodziej-Polsce* był honor, o czém on także wątpił;

3° że tego wszystkiego niemożna sobie inaczej wytłumaczyć, tylko że są cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło ziemi i niebu.

BARASZKI.

Donoszą z Warszawy że system dziesiętny został zaprowadzony w całej Moskwie i Polsce, ale nie co do miar i wag, ale wykreśleni i kar. *Gazeta-Warszawska-Poranna*, pod dniem 1/13 marca 1841 r. tak o tém pisze: « Najjaśniejszy Pan Mikołaj I, cesarz Wszelch Rosyi, król Polski, z okazji zaślubin Najjaśniejszego syna swego, Następcy tronu Carwicza Aleksandra, z Najjaśniejszą Maryą księżniczką z domu Darmstadt, raczył najłaskawiej złagodzić kary tym wszystkim, którzy w ostatnich czasach za polityczne przestępstwa skazani na nie zostali, a to podług następującego rozkładu:

Skazani na Syberyę odbiorą knuty,
Skazani na knuty odbiorą baty,
Skazani na baty odbiorą kiję.

« Aby zaś ta szczodroblwość ojcowska mylnemu nieuległa tłumaczeniu, Najjaśniejszy Pan kazal dołączyć taryfę, podług której to Jego najmiłościwsze postanowienie wykonane być winno. Jakoto:

Rok Syberyi równy jest 10 knutom,
Jeden knut — — 10 batom,
Jeden bat — — 10 kijom

czyli Rok Syberyi — — 1000 kijom.

« Gubernatorowie wydali polecenia, aby po wszystkich kościołach i cerkwiach zaintonowano *Te Deum*, na podziękowanie Bogu, za tę nową laskę najmiłościwszego Monarchy. »

— Nieraz zdarza się słyszeć pytanie: Coby też się stało z Chrystusem, żeby się w naszych czasach pokazał?... Nam się zdaje że w Prusiech strzelanoby do niego jak w r. 1831 do Polaków w Fischau; w Austrii sami księża Jezuitci podaliby go rządowi na umczenie w Kufstein lub Spilbergu; a w Moskwie byłby zesłany na Syberyę, albo skazany na karę systemu dziesiętne.

— Kom. kor. zawiodłszy okropny lament na obojętność *Zjednoczenia*, zadaje sobie pytanie: Miałaby się sprawdzić przepowiednia Centralizacyi że bez żandarmów nie z naszym *Zjednoczeniem* nieporadzimy? Jeszcze chwila cierpliwości, a odpowiedź sama się znajdzie.

• — Do znanych rodzajów dowcipu: płaski, gruby, delikatny, przybył — śmierdzący, a to od czasu jak faryzeusze wydajacy *Zjednoczenie* zaczęli puszczac pogromki.

— Ktoś chciał dowiedzieć się koniecznie: po co się *Zjednoczenie* jednoczy; nuż więc czytać pisma *Zjednoczenia*: Nową-Polskę, Orła-Białego, *Zjednoczenie*, Okólniki kom. kor., Manifesta Hajdamackie, itd., itd. Jakież było jego zadziwienie, kiedy w *Zjednoczeniu*, zamiast *Zjednoczenia* znalazł najoczywistsze *Rozjednoczenie*; bo *Nowa-Polska* pojmuje *Zjednoczenie* inaczej, a *Orzeł-Biały* inaczej, a *Zjednoczenie* inaczej, a *kom. kor.* jeszcze inaczej, a *Hajdamaki* znowu inaczej, a wszyscy jak pies z kotem nienawidzą się wzajem. Ci panowie, rzekł, dla tego tylko widać zbliżają się do siebie, żeby tém wygodniej żreć się i gryźć się mogli.

— *Dziennik-Narodowy* oświadcza, że dla tego niejest ani demokratą, ani arystokratą, że dotąd niewie jeszcze co w przyszłej Polsce górę weźmie. I powiadają że *Dziennik-Narodowy* nieszczęry.

— *Trzeci-Maj* pisze: « W tej chwili odbieramy od naszego korespondenta z Warszawy piosnkę: *Czarna Sukienka*, świeżo przez jednego z poetów krajowych napisaną, it.d. » Dobrą próbka wiarogodności stosunków *Trzeciego-Maja* z krajem, i zarazem jego znajomości w literaturze ojezystej. Ową *Czarną Sukienkę* napisał i ogłosił drukiem we Francyi w pierwszych jeszcze latach emigracyi, emigrant K. Gaszyński.

• — Jaka jest najwybitniejsza cecha świstka *Zjednoczeniem* zwanego? że wciąż gada o miłości braterskiej, a zjeje najwścieklejszą nienawiścią przeciwko braciom.

Redakcyja *Pszonki* uprasza swoich prenumeratorów o bezzwłoczne złożenie przypadającej od nich należności: osobom u których się zapisali, lub przesłanie jej w mandatach pocztowych wprost do Redakcyi, pod adresem *M. Pszonka, Polonais, au Wacken, 10, à Strasbourg (Bas-Rhin)*.